

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

4 — Zbliżamy się do końca — zauważył zimno nieznajomy.

— Ah! Nędzniku! Zabijeś mnie!

— Zdaje się.

— Mój Boże! Czy uczyniłem ci co złego? Byłem ci oddany... Ah! Gdybym ci mógł dostać w swoje ręce!

— Chcesz wiedzieć, dlaczego umierasz? — wymówił poważnym głosem nieznajomy, pochylając się nad konającym. — A więc powiem ci to: Umierasz dla tej przyczyny, że nazywasz Bonnet, a wszyscy, którzy to nazwisko noszą — zginać muszą!

Ale konający nie rozumiał już tych słów. Ostatni jęk podniósł pierś jego, ostatnie drżenie wstrząsnęło jego ciałem, które teraz bezwładne i nieruchome legło na posadzce.

— Dobrem jest wszystko, co dobrze się kończy! — zawyrokował nieznajomy, konstatając, że ofiara jego nie daje już znaku życia. — A teraz trzeba pomyśleć o ukryciu tych zwłok!

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Podczas tej sceny niebo pokryło się ciężkimi chmurami i deszcz drobny a gęsty padać zaczął. Silny prąd powietrza wtargnął do pokoju, gasząc lampę.

— Doskonale się wszystko składa — zauważył morderca. — Noc dosyć ciemna, aby mnie jakie niedyskretnie oczy nie podpatrzyły!

Podszedł do zwłok i szybko ujął je z podłogi, kierując się z nimi w oddaloną część ogrodu. Na chwilę przystanął, nadsłuchując. Ale wokoło panowała cisza niczym niezmaczona. Nieliczni sąsiedzi skryli się przed deszczem w mieszkaniach. Mógł więc działać z całą swobodą. W tej części ogrodu znajdowała się głęboka, oddawna już wyschnięta studnia, założona wielkim, okrągłym kamieniem. Nieznajomy odsunął kamień i wrzucił zwłoki do dołu, poczem starannie zamknął otwór.

— Pozbyłem się go nareszcie! — szepnął z ulgą. — Mądry będzie, kto go tu odnajdzie! A teraz prędko w drogę!

Powrócił spieszenie do domu, zabrał przygotowaną walizę, wyjął ze szafy portfel, wypełniony papierami, i opuścił mieszkanie, zamykając je na klucz.

O kilka kroków od furki ogrodowej oczekiwał zamówiony powóz. Stangret już od chwili zaczął się niecierpliwie opóźnianiem się gościa.

— No, nareszcie! — mruknął, ujrawszy nieznajomego. — Myślałem, że już pan nie pojedzie.

Ten zaś wskoczył szybko do powozu i zawołał rozkazująco:

— Na dworzec św. Łazarza!

VI.

Modniarka.

Dwudziestego kwietnia, około godziny dziesiątej rano, parowiec „Cambodge“, przybywający z Aleksandrii, wpłynął do portu w Marsylii. Pogoda była śliczna, lekki wietrzyk wiał od południa, a wzdłuż długiego skweru la Joliette tłum różnobarwny oczekiwał przybycia okrętu.

Na szerokim pomoście, rzuconym od brzegów, tłoczyli się pasażerowie, zatrzymywani przez urzędników, sprawdzających paszporty i bagaże. Defilada ta trwała prawie pół godziny, poczem hałas i zamieszanie ucichły, tłum stał się mniej zbity i wkrótce nieliczni już tylko podróżni schodzili przez pomost na skwer, spiesząc się do oczekujących znajomych, lub do pociągu, odchodzącego właśnie o tej porze.

O kilkanaście kroków od brzegów, oczekiwał wóz pocztowy, czekający na listy i depesze, które urzędnicy przewieźć mieli na kolej, a mające odejść pierwszym pociągiem do Paryża. W kilka minut transport ten został uskuteczony. Ukazał się urzędnik pocztowy z ostatnim wypchanym workiem, drzwiczki wozu zostały szczelnie zamknięte, i konie ruszyły szybko z miejsca.

Zdawać się mogło, że już wszystkie czynności załatwione zostały i że żaden pasażer nie pozostał na pokładzie „Cambodge“, jednakże tak nie było.

W chwili, kiedy wóz pocztowy, uwożący depesze i listy, odjeżdżał, ukazał się człowiek o silnie brązowej cerze i zdązał przez kładkę na skwer. Mógł mieć lat około trzydziestu. Rysy twarzy wskazywały wielką stanowczość i energię, a gorący blask jego bystrych oczów nadawał całej twarzy osobliwy jakiś wyraz. Towarzyszył mu majtek z okrętu, niosący niewielką, żółtą walizę i koc podróżny.

Przy końcu kładki stał urzędnik cłowy na straży. Podróżny podeszedł szybko do niego.

— Może zechce mnie pan objaśnić — odezwał się czystym francuskim akcentem — ale przybywam zdaleka i zaniedbałem poinformować się, o której godzinie odchodzi pociąg do Paryża?

— Pociąg pospieszny? — zapytał urzędnik.

— Tak jest.

— Punktualnie o drugiej!

Podróżny spojrzął na zegarek.

— Już jest dwunasta. Zdaje mi się, że nie będę mógł zatrzymać się w Marsylii. A no, trudno, odłożę to na inny raz!

Podczas tej krótkiej rozmowy, majtek zawołał stojącą opodal dorożkę i kładł do niej walizę.

W tej samej chwili podróżny pożegnał spieszenie urzędnika, wsunął posługaczowi w rękę złotą monetę i szybko wskoczył do powozu. W kilka minut dojeżdżał do dworca i udał się natychmiast do restauracji kolejowej, gdzie sobie kazał podać śniadanie. Spostrzegłszy, że już nadchodzi godzina odjazdu, zapalił cygaro, uregulował rachunek i, wyszedłszy na peron, zajął miejsce w wagonie, w przedziale pierwszej klasy.

Pociąg miał już ruszać i ostatni podróżni wskakiwali pospieszenie do wagonów, pośród nawoływań posługaczów i ogłuszającego gwizdu lokomotywy. Nagle hałas jakiś wszczął się od strony ambulansu pocztowego, konduktor mający już dać znak do odjazdu, opuścił rękę i spieszenie pobiegł w tym kierunku.

Podróżni, zaalarmowani, zaczęli się tłoczyć do okien, dopytywać się, co się stało. Nikt jeszcze nie umiał na to dać odpowiedzi.

Pasażer z parowca „Cambodge“, zaintrygowany również wzrastającym zgiełkiem, wychylił głowę ze swojego przedziału. Zamierzał nawet wysiąść z pociągu, aby się dowiedzieć o przyczynie tego alarmu, kiedy opóźniony jakiś podróżny, zdyszany i różgorączkowany, wskoczył do środka.

— Ah! Do diabła! — zaklął. — Przybywam w samą porę. Gdyby nie ten wypadek, pociąg byłby mi uciekł z przed nosa!

Mówiąc to, rozkładał pled na siedzeniu i umieścił torebkę swoją w siatce, obok walizy nieznajomego. Był to staruszek, pełny życia i ruchliwości, którego oczy błyszczały zupełnie młodzieńczym blaskiem. Ubrany był bardzo skromnie, w płaszcz długi, brunatny. Górna część twarzy ostaniał duży, miękki kapelusz, szyję zaś miał owiniętą włóczkowym szalikiem.

Spostrzegłszy, że nowoprzybyły poruszył jego walizę, aby znaleźć miejsce dla swojej torby podróжной, nieznajomy ściągnął brwi z niezadowolaniem.

Zauważył ten ruch staruszek i uśmiechnął się uprzejmie:

— Niech pan wybaczy, panie pułkowniku — rzekł dobroduszenie — ale jeżeli to pana krępuje, to umieszczę swój bagaż gdzieindziej.

Pasażer z „Cambodge’a“ przypatrzył mu się z natężoną uwagą.

— Pułkowniku? — odparł żywo. — To pan mnie zna?

— Nie mam tej przyjemności.

— Skądże więc?

— Ah! Mój Boże! To zupełnie naturalne. W chwili, kiedy trzymałem pańską walizę w rękę, spojrzenie moje padło machinalnie na napis, wyryty na niej: „pułkownik Robert“. Żałuję bardzo, jeżeli ta niedyskretyja moja mimowolna uraziła pana.

Pułkownik Robert nie odpowiedział. Hałas na peronie wzmógł się jeszcze i uwaga jego w tę stronę została zwrócona.

— Co się tam stać mogło? — szepnął, zaniepokojony, wychylając się przez okno.

— Mogę pana poinformować — rzekł staruszek uprzejmie. — Tak, jak wspomniałem, przybyłem z opóźnieniem na dworzec. Żeby nie to wydarzenie, byłbym zmuszony zatrzymać się na noc w Marsylii.

— Ale co to za wydarzenie właściwie?

— Pan zapewne wie, że przed paroma go-

dzinami parowiec „Cambodge“ zawinął do portu powracając z Indii?

— Należałem do jego pasażerów.

— Ah, tak! Powinienem być domyślić się tego, widząc ogorzałą twarz pana. A więc „Cambodge“ przywoził ze sobą ważne depesze dla rządu francuskiego. Depesze te zamknięte były w dużych skórzanych workach i przewiezione wozem pocztowym, po wyładowaniu ich z okrętu, na dworzec tutejszy...

— A więc?...

— A więc, kiedy wózki te przybyły do ambulansu pocztowego, zauważono, że jeden z nich był naruszony!

— O, do diabła!

— Teraz zrozumie pan zamieszanie i prześtrach, jakie to odkrycie wywołało na dworcu. Depesze takie, pochodzące ze Wschodu, są często bardzo wartościowe. Przypuszczano więc, że dokonano na nich zuchwalej kradzieży.

— Należy tak przypuszczać!

— A jednak przypuszczenie to jest mylne!

— Co pan mówi?

— Przy dokładnym zbadaniu worka i sprawdzeniu w księgach numerów depesz, skonstatowano, że brakuje tylko jeden akt, mający być złożony w ministerstwie marynarki w Paryżu.

— A to szczególnie!

— Nieprawdaż?

— Rezultat tego wydarzenia właściwie nie jest tak ważny. Ciekawy jestem, co zarząd kolei uczyni w tym wypadku?

— Spisano podobno protokół i zapewne gdzieś tu wkrótce komisja śledcza. Tymczasem zaś odjedziemy bez dalszej przeszkody do Paryża.

Jakby na potwierdzenie słów staruszka, rozległ się gwizd przeciągły z lokomotywy, wzbili się kłęby gęstej, białej pary i pociąg ruszył pospieszenie.

Kiedy podróżni stanęli w Paryżu, pułkownik Robert natychmiast opuścił dworzec, unosząc ze sobą swoją żółtą walizę. Jednakże, kiedy miał już odejść z poczekalni, zwrócił się do swojego towarzysza podróży, który siedział z nim w pewnej odległości.

— Udam się do Grand-Hotelu — oznajmił. — Jeżeli pan zdąży w tę stronę, chętnie służę panu miejscem w powozie.

— Dziękuję serdecznie — odparł staruszek, kłaniając się. — Ja mieszkam na ulicy Abbacya, w innej zupełnie dzielnicy, nie chcę więc nadużywać grzeczności pana.

— W takim razie musimy się pożegnać!

— Do widzenia, panie pułkowniku! Nie wiadomo, może się jeszcze kiedy spotkamy w życiu. A skoro nazwisko pana jest mi znane, pozwoli pan ofiarować sobie mój bilet wizytowy. Może kiedy będzie pan potrzebował moich usług, chociaż wobec pana jestem nędzną osobistością. Ale nie wiadomo nigdy...

Mówiąc tak, staruszek wręczył pułkownikowi kartkę, na której wypisane było: „Cypryan Leduc, archiwista“. Poczem obydwaj rozłączyli się, udając się każdy w inną stronę.

VII.

Pułkownik Robert wsunął bilet swojego towarzysza do kieszeni płaszcza i, opuściwszy dworzec lyoński, skierował się na bulwary.

W pół godziny później wchodził do Grand-Hotelu. Dwóch służących wybiegło na jego spotkanie i podeszło do powozu.

— Pan pozwoli walizę — rzekł jeden z nich, wyciągając rękę.

Pułkownik rzucił mu swój koc podróżny, mówiąc:

— Nie trzeba, zaniosę ją sam! Tylko proszę mi dać natychmiast pokój dobrze ogrzany, bo przemarzłem bardzo w drodze.

— Pan niema innych bagażów?

— Przybędą później. Oto moje nazwisko!

Wszedł na szerokie schody, prowadzące na pierwsze piętro i znalazł się na korytarzu.

— Numer sto dwadzieścia trzy, proszę pana — zawołał służący, idący za nim. — Pan zechce iść za mną, to wskaże!

Służący minął kilkanaście drzwi i w końcu otworzył drzwi obszernego, jasnego pokoju, w którym palił się wesoły ogień na kominku.

— Czy pan żąda czego? — zapytał, kłaniając się nisko.

— Na razie nie potrzebuję niczego — odpowiedział pułkownik. — Proszę nie wchodzić, aż zadzwonię! Chcę zmienić ubranie i nie lubię, kiedy mi kto przeszkadza!

— Słucham pana!